

ANNA PROSKURA

ur. 1923; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, okres powojenny
Słowa kluczowe	Lublin, okres powojenny, proces Bernarda Lella, Bernard Lell, działalność podziemna, zeznania, Żydzi

Proces Bernarda Lella

Wojna [w Lublinie] się skończyła, mieszkamy na Skłodowskiej, rok [19]45, chyba luty czy marzec, dzwonek rano. „Proszę państwa, czy możemy wejść?”. Pan i pani, przedstawiają się: „Ja jestem z Tczewa, jestem siostrą Bernarda Lella”. A my mówimy: „Nam to nic nie daje”, bo my nie wiedzieliśmy, że on nazywa się Lell. „To ten pan, który was aresztował”. „A co się stało?”. „Proszę państwa, jest jego proces w Lublinie, na Krakowskim Przedmieściu – w tym sądzie koło murku z kwiatami – i brat mój bardzo prosił, żebyście państwo, pani i pan – bo ja jestem bardziej pyskata, moja siostra bardziej spokojna, tak jak mama – pomogli, zeznawali w jego sprawie. Co będziecie mogli o nim powiedzieć”. Dopiero ona nam wszystko powiedziała, że on był nauczycielem i ona jest nauczycielem, że on wziął żonę do Lublina, że mieszkał na Narutowicza, że w nocy Żydzi mu żonę zamordowali z zemsty za to getto, i że on jest bardzo dobry człowiek, że on pracował w organizacji, że on cały czas był w organizacji i zaczyna nam tłumaczyć, w jakiej organizacji, której już nie pamiętam, no i ja tak do dziś sobie jego kojarzę jako Klossa, całkowicie. WIN było, AK było, więc nie wiem. On należał do którejś z naszych organizacji. Dlaczego? Bo jak był jego proces, to było 80 świadków ze wsi za nim, że on przyjeżdżał, że on przywoził do organizacji od cichociemnych różnego rodzaju zarządzenia, że on nawet broń im dostarczał. Do tego stopnia, on współpracował, żeby pomagać nam, Niemcem nie był. Ona zaczęła płakać, że tak strasznie szkoda, że jak to będzie, ten proces, tak się boją. No i oczywiście zanocowali, ojciec ich przenocował, bo przecież oni nie byli stąd. Idziemy rano na ten proces. Przychodzimy i jest taka klatka jak dla kanarka i w tej klatce siedzi Lell. Podeszłam do niego, on mnie złapał: „Haneczko, dziecko kochane”. Tak patrzę na niego, a on mówi: „Haniu, widzisz, ja jestem Polak. Ja poświęciłem się, a teraz widzisz, co ze mnie robią. Jak będziesz mogła, to wszystko powiedz to, co wiesz”. Ja mówię: „Dobrze”. Zeznajemy wszyscy w tym sądzie, jak on się z nami obchodził, jeszcze jak przychodził przecież do nas, przy nas ojca przepraszać, że go tak bił, to mówił: „Ja mam usta zamknięte, nic powiedzieć nie

mogę, a państwo się nic nie domyślajcie” – o takie rzeczy nam zawsze mówił, żeby jego nie wydać z czymś, że nawet on tu przychodził do nas. I tak zeznajemy wszyscy, ten proces był bardzo ciekawy, dlatego że siedziało masę Żydów, po prostu robili w sądzie awanturę i krzyczeli: „sznura, sznura, sznura” – no wiadomo, na niego. Zeznawali ludzie bardzo ładnie ze wsi, że przyjeżdżał, że przyjeżdżał nawet i rowerkiem, że przywoził różnego rodzaju dokumenty, lewe dowody ludziom, różne papiery umożliwiające komuś tam poruszanie się itd. No, wszystko za nim. Zeznaje pani Kalicka. Kalicki to był największy złotnik w Lublinie, koło [kościół] Świętego Ducha ten sklep ze złotymi pierścionkami i tym wszystkim. Zeznaje ona na procesie Lella, że mąż jej został aresztowany, ona dostała cynk z organizacji, że jest taki gość, do którego można się udać, że on może coś załatwić, czyli jest Lell. „Dostałam adres Narutowicza 58 w domu Grygi, on wówczas mieszkał na kwaterze prywatnie na drugim piętrze, i idę do niego, on mi otwiera drzwi, mówię, że mam do pana interes, chciałabym, żeby pan mi w pewnej sprawie pomógł. On zażenowany: <Cóż ja mogę pomóc, przepraszam panią, co to za najście?>. No, ale jakoś go udobruchałam, weszłam”. I z nim [rozmawiała] o tym mężu, że siedzi w Oświęcimiu, że jak to zrobić, jakby go wyciągnąć, że dla niej nie ma ceny. On mówi: „Nic ja, proszę pani, na ten temat nie wiem, zobaczymy”. „Tak jakby mnie wyprosił – mówi – ja daję jemu złoto w woreczku, proszę sądu, stawiam to złoto. A on: <Proszę to zabrać>. No, to wzięłam. Wychodzimy. Wychodzi pierwszy w przedpokoju, bo nie palił światła: <Ja pani drzwi otworzę, proszę za mną>. I w przedpokoju stało tremo z lustrem, i na tym tremie postawiłam to złoto, on mnie wypuścił, poszłam. Jestem już prawie na dole i słyszę: <Halo, pani zostawiła>. Rrrru... ze schodów zrzucił mi na łeb to złoto. Nie przyjął. Później, proszę państwa, mąż wychodzi z Oświęcimia na wolność, przyjeżdża. Ja się z nim skontaktowałam, z Lellem – nie mówiła w jaki sposób – on powiedział tak: <Proszę już więcej z organizacją nie mieć nic wspólnego, bo jeśli drugi raz pan wpadnie, to już ratunku nie ma>. Upłynęło ze trzy miesiące, ten Kalicki był na wolności, znowu się do tej organizacji tam wciągał, aresztowali go, no, i zginął. „Ale – pani Kalicka w sądzie mówi – pomógł mi”.

Następna babka z ulicy Orlej, róg Okopowej, zeznaje: „Proszę wysokiego sądu, dzięki temu panu mój syn żyje. Było w ten sposób, że jest godzina chyba dwunasta w nocy, dzwonek, wchodzi ten pan, w mundurze i pyta się: <Czy zastałem syna?>. A syn był w domu akurat, przyleciał, bo tam w lesie był, w organizacji. No i mówi, że chciałby z nim porozmawiać. <Nie, nie ma>. A syn do drugiego pokoju uciekł, tam schował się. Wtedy on mówi do mnie tak: <Proszę pani, jeśli jest, niech ucieka, bo – mówi – jak drugi raz przyjdę, to już ja go złapię>. Ale mógł tak powiedzieć, bo był sam ze mną, bo nikt go nie słyszał, nikt go nie zdradził. I poszedł. Ja wyglądam w kuchni, stoi limuzyna, wsiadł, pojechali. Jeden stał na dole, a on przyszedł sam na górę. Więc noc, syn różnymi bramami, bocznymi uliczkami uciekł. A później na drugi dzień i na trzeci dzień przychodzili bez przerwy, jego szukali. Dzięki temu żyje”.

Takich przykładów było bardzo dużo na tej rozprawie. Lell to biedny płakał, po prostu

łzy ronił, bo rozbroiło go to, jak ludzi strasznie z sercem podchodzili, no, nic dziwnego, wszyscy mieli dla niego serce z tytułu wdzięczności. A ze strony żydowskiej to nie pamiętam [zeznań], bo byłam tak zafascynowana tą stroną dodatnią, że nie pamiętam. W każdym razie Żydzi strasznie krzyczeli z tych ławek, wydzierali się. Ten proces trwał jeden dzień, ale cały. Pamiętam, jakśmy poszli rano, [to spędziliśmy tam] cały dzień. W każdym razie finał był taki, że jego zabrali do Warszawy i w Warszawie mieli pisać prośbę do prezydenta o ułaskawienie. No, ale oczywiście Żydzi tam przecież rękę maczali, w tej Warszawie, i dostał wyrok, zginął. [Wyrok był] w Warszawie ogłoszony i wykonany w Warszawie. Rozstrzelany [został]. Był bardzo dobry człowiek.

Nic więcej się nie dowiedziałam. Dlatego, że jak już sprawa się kończyła, oni przyszedli do nas, pożegnali się, mówili, że są dobrej nadziei, że może w Warszawie coś się da zrobić. Tak że pożegnaliśmy się i ślad zaginął potem, już nie było żadnych kontaktów. A jeszcze był taki moment, że wojna się kończyła w lipcu, 22 lipca, a w czerwcu ja pracowałam na kolei w tym Auskunftei, informacji nur für Deutsche. I jednej nocy na kolei było poważne aresztowanie, Niemcy aresztowali mężczyzn bardzo dużo, z każdego wydziału i z wagonowni jakiejś tam. I aresztowali kolegę naszego, nazywał się Zbigniew Bocian. Strasznie mi było jego szkoda, bo przyszła pani Bocianowa na drugi dzień do nas, co robić, może mamy jakieś dojścia, bo jego aresztowali. I my z siostrą pomyślałyśmy sobie, że jak wiemy, że [Lella] mieszka na Narutowicza 58, to może pójdziemy do Lella. Ale Krysia, siostra, mówi tak: „Słuchaj, a może nas tam jeszcze zamkną, nie? Nie maczajmy rąk”. A ja mówię: „Słuchaj, popróbujmy”. Poszłyśmy, to była niedziela, otworzyła nam ta właścicielka: „Nie ma pana oficera. Pan oficer jest na polowaniu”. Chciałyśmy wstawić się za nim, żeby go uratować. Nie skorzystałyśmy, bo go nie było. I ten Bocian później zginął. W ostatni dzień, [kiedy] oni na Zamku wszystkich tak rozwalali, to Bocian zginął.

Data i miejsce nagrania	2007-09-26, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"